

JOLANTA JANICZAK
„I tak nikt mi nie uwierzy”

OSOBY:

BARBARA ZDUNK

ANNA – CÓRKA BARBARY

ALICJA – CÓRKA BARBARY

AGNES – CÓRKA BARBARY

OJCIEC BARBARY

BRAT BARBARY

PAROBEK JAKOB AUSTER – JEDYNY UKOCHANY BARBARY

„Zmierzyć się z tą wersją naszych pragnień, która pochodzi z nocnych koszmarów. A następnie ponownie uruchomić wyobraźnię”. Jeśli się jeszcze zdoła.

OJCIEC: Dzisiejszego wieczora zamierzam odnieść się do wyników eksperymentu, mającego dać wgląd w zjawisko utraty instynktu samozachowawczego u kobiet. W eksperymencie tym została wykorzystana moja córka Barbara Z., oskarżona o spowodowanie pożaru w celu ukarania byłego partnera. Oskarżona Z. przed skazaniem została umieszczona w celi nie wiele większej niż klatka dla psa. Na prawej połowie podłogi zostało włączone napięcie elektryczne. Za każdym razem, gdy oskarżona Z. stawiała nogę po prawej stronie celi, doznawała bolesnych wstrząsów. Oskarżona Z. potrzebowała zaledwie kilku minut, żeby nauczyć się omijać prawą część celi. Następnie napięcie zostało włączone również w lewej części podłogi, natomiast prawa została bezpieczna. Oskarżona Z. szybko zorientowała się, że nastąpiła zmiana i automatycznie przeszła na prawą stronę celi i tam została. Wreszcie napięcie elektryczne podłączono na całej podłodze i dozowano wstrząsy bez przerwy, w nieregularnych odstępach czasu. Niezależnie, gdzie oskarżona Z. stała czy leżała i tak doznawała porażenia. Najpierw wydawała się być zdezorientowana, potem wściekła, przerażona. W końcu poddała się i biernie przyjmowała wstrząsy. Na tym jednak eksperyment się nie kończy. Po miesiącu otworzono drzwi. Wszyscy spodziewaliśmy się, że Barbara wybiegnie, jednak nic podobnego się nie stało. I nie dzieje. Mimo, iż cela pozostaje od dłuższego czasu otwarta, a elektrowstrząsy nasilają się. Nawet córki oskarżonej, które czekają przed wyjściem, nie są zdolne wywołać w niej najmniejszego ruchu. „I tak nikt mi nie uwierzy” – zdobycie tego napisu zajęło mi kilka miesięcy, litery porozrzucane po celi, miały jednak nad sobą mikroskopijne cyfry, które udało mi się odczytać i połączyć w całość.

BRAT: „Taką cenę musiała zapłacić za przejście do historii z najniższych nizin nędzy i bezimienności upośledzona pasterka spod Reszla”. Siostra nie była zwykłą pasterką, znała wszystkie pieśni, raz wystarczyło przy niej zanucić. Zawsze dla stada śpiewała, inaczej krowom, inaczej dla owiec czy koźląt.

OJCIEC: Jak zauważyli kronikarze, życie mojej córki okazało tańsze niż zastawiony w lombardzie zegarek.

BRAT: W tym roku w miasteczku z epidemii zmarło ponad pięćset osób. Pozostali żywi chcą surowo karać podpalaczkę, słysząc szept: „Niech się razem z nią bakterie i zarazki spalą”.

OJCIEC: Czy przypadkiem nie potakiwałaś śledczym? Czyś nie upraszczała procedur? Czyś nie prowokowała sędziów i ławników? Czy od małego nie sprawiałaś wrażenie dziwnie przygłupawej?

BRAT: Próbowałem jej pomóc setki razy, za każdym razem kazała mi się gryźć w język. Jak sam nie gryzłem, to mi go do krwi zębami szarpała. Do dziś mam na języku blizny, że niektórych słów nie sposób wymówić.

OJCIEC: Dzisiaj dostałaby zestawy terapeutycznych ćwiczeń, które nauczyłyby ją zarządzać nadpobudliwością.

BRAT: Sami powinniśmy odkryć, być może rodowe, przyczyny tej nadpobudliwości.

OJCIEC: Pluję sobie w brodę, że nie pomyślałem, żeby ją jeszcze przed okresem dojrzewania zabezpieczyć przed konsekwencjami, w postaci zwykłego podwiązania jajników lub sterylizacji.

BRAT: Nie trzeba od razu niszczyć tego, czego nie możesz bez wstydu zrozumieć. Nie trzeba od razu niszczyć tego, czego nie możesz sobie podporządkować.

OJCIEC: W dzisiejszym świecie są miejsca na rehabilitację zapomnianych ofiar, trzeba tylko ofiary oddać ekspertom do sprofilowania.

AGNES: W eksperckich profilach znikają rysy.

OJCIEC: A po co komu rysy, jak się może pławić w ułaskawieniu.

AGNES: Chcę matkę taką, jaką była, nawet jak się nie da nią nic spektakularnie naświetlić, ani wypełnić nią żadnych ślepych plamek.

OJCIEC: Bez opracowania i bez nazwiska wasza matka nie stanie na nogi, nie poradzi sobie sama ze sobą nawet w najprostszej scenicznej postaci. Jej ofiara pozostanie niema, nieruchoma i bezużyteczna. Czasem wystarczy jeden niezapomniany gest, jedno zdjęcie, żeby zbić kapitał.

ANNA: Podobno w celi zostało martwe zawiniątko, bez imienia, daty, stempla, bez przyszłości.

OJCIEC: Te aspekty sprawy nie interesowały sędziów, nawet strażnicy odwrócili oczy.

ANNA: Mam przypuszczenie, że było nas więcej, bo matka w ciąży bez przerwy, choć przed towarzyszami zabaw starała się ukryć obwody, ustawiając się bokiem lub tyłem. Poprosiła mnie nawet, żebym jej ten brzuch pomogła obwiązać grubym na łokieć gumowym paskiem.

BARBARA: Mocniej, mocniej, niech wypadnie to, co ma wpaść!

ANNA: A jak się rozbije?

BARBARA: I tak nikt mi nie uwierzy.

ANNA: Dekadę później sama się na tym pasie powiesiłam. I dotąd mnie nikt nie odciął, aż stwardniałam. Czy to prawda dziadku, że wisielec już na wieki pozostaje w wzwodzie? Czy ktoś się przede mną z rodziny powiesił?

ALICJA: Dziadek powiedział żebym, przypadkiem nikomu nie siadała na kolanach, bo podobnie jak mama jestem naznaczona niespójnością, a relacje jakie nawiązuję są dość asymetryczne.

OJCIEC: Wyprowadziłem na prostą nie takie przypadki, w końcu każda z was zapragnie się znaleźć w rękach specjalisty.

ANNA: Matki nie sposób nigdzie wyprowadzić, po drodze musi dziesięć razy stanąć za potrzebą.

JAKOB: Właśnie idę za potrzebą, za potrzebą idę w świat. Do miasta gna mnie jakby wiatr, chcę się uczyć, zdobyć fach. Nie chcę do końca życia owiec paść.

BARBARA: Nie, nie, nie, do stada chodź, przy stadzie stój, przy mnie i przy stadzie stój.

JAKOB: Przede mną było około dwudziestu parobków w jednym tylko roku, w lesie parobek, w szynku parobek, na polanie parobek, nawet pies był między parobkami.

ALICJA: Hans, Matz, Caspar, Jürgen, Adolf, Karl, Bastian, Christian, Erik, Felix, Matias, Lukas, Friedrich, Heinrich, Johan, Klaus, Kurt, Lars, Mark, Wolf, Ulrich, Michael, Władimir.

OJCIEC: Ale to parobek Jakob od czternastego roku życia był z Barbarą w intymnej relacji.

JAKOB: Nie pamiętam dokładnie od kiedy, nie byłem wtedy tą samą osobą, pasaliśmy owce.

BARBARA: Miały to być kiedyś nasze owce. Nie dopilnował ani mnie, ani stada, a teraz do miasta. Z kim do miasta? Po co do miasta? Nie dość miejsca na polanach w lesie? Nikt nas nie widzi, nie słyszy.

JAKOB: O to idzie, że chce żeby mnie w mieście uwidzieli, usłyszeli jak gram na akordeonie, jak się od kamienic nuta odbije, jak do okna szynku wpadnie i porwie ludzi do tańca. Na polanie się niesie w próżnię i nic z tego ni ma.

BARBARA: Zostaw mnie sobie na jutro, jak zwykle poczekam, jak zwykle pierwsza sobie przypomnę melodię.

JAKOB: Dobrze, na dwa głosy, ino nie patrz, jak się będę w przeciwnym kierunku oddał.

OJCIEC: Stosunki z parobkiem stały się bezpośrednią przyczyną tragedii.

JAKOB: Ona liczyła sobie lat trzydzieści dziewięć, ja tylko dwadzieścia. Dom, w którym nocowałem, podpaliła z zazdrości, gdyż nie chciałem z nią dłużej obcować.

AGNES: Byłam z matką najbliższą ze wszystkich, świadczę że matka nie podpaliła, raz albo dwa zdarzyło jej się zasnąć z niezgaszonym papierosem w ustach i wtedy ogień zajął pierzynę. Nic więcej, tylko pierzynę.

BARBARA: I tak nikt mi nie uwierzy.

JAKOB: A potem mnie pod tę pierzynę wciągała. Mam bliznę, pokazać?

OJCIEC: A dlaczego parobek nie chce dłużej obcować?

JAKOB: Cały czas łążą za nami jej dzieci, z roku na rok więcej. Odganiała, ale i tak zawsze się trzymają blisko, nie dając nam chwili prywatności. A mi w tamtym czasie głównie o prywatność chodziło.

OJCIEC: Ale przypadkiem, czy któreś z nich nie jest parobka przychówkiem?

ALICJA: Do matki przyszedł pacholek w postaci koźlęcia i jam go sama z resztą inwentarza do chlewka zagnała, a po tym się obrócił w chłopca. Ale nie w tego chłopca, w wielkiego chłopca. A matka z nim jako żona z mężem obcowała, trzy razy w szopie, leżała na wznak i obcowała. A przyrodzenie zimne ma jak lód. Sama sprawdzałam, bo mi go po wszystkim kazała całować. I knura też kazała w części rodzajne. Knur nie był zimny.

AGNES: Po co żeś za nią po stajniach łąziła?

ALICJA: A czasem mnie sama wołała, bezpieczniej kiedy to dwie na jednego.

AGNES: Kosztem oskarżonej matki robi z siebie ofiarę, męczennicę.

ALICJA: No, matko, czemu chcecie zaprzeczać, czy to nie jest prawda? Czy nie przychodził do was w nocy ubrany na czarno ni to pies, ni to mężczyzna? Czyś mi nie kazała mu smalcem nóg nacierać aż ponad kolana, wysoko?

ANNA: Takiej matki się nie upilnuje, nie doliczy godzin czekania na jej „zaraz wracam”, nikt nie pomoże wyciągnąć spod pijanego piekarza na festynie letnim.

AGNES: Zaburzenia hormonalne z głodu, brak oksytocyny, która jest kluczowa w budowaniu więzi. Mam podręcznik, wiem jak te łańcuchy wszystkie odbudować.

ANNA: Nie zdążyłam poznać ani siebie, ani ciebie, bo ciągle musiałam krok w krok za nią, żeby się nie utopiła, nie upadała, nie połamala, żeby jej nie przedziurawili na polanie.

ALICJA: Raz ją zapytałam, jakim sposobem do stosunków z diabłem przyszła, to mi powiedziała, że mu mnie i ciebie i ciebie też dała na kochanki i żeby się wiekiem naszym nie przejmować, lepiej jak się wcześniej człowiek pozbędzie złudzeń i nie oczekuje, że mu inny padnie los w przydziale.

AGNES: Mamo, mam suplementacje, podobno brak więzi skutecznie się leczy. I inne przypadłości da się zoperować.

BARBARA: Czego ode mnie chcecie?

OJCIEC: Oddać ci dom, wielopokoleniową rodzinę, w której będziesz mogła uciec przez złymi losami, w której twoje skłonności nie zdobędą podatnego gruntu.

AGNES: Żebyś się nami zainteresowała tylko trochę, jak sobie radzimy, co się z nami stało, może byś chciała nas odzyskać. Ja bym bardzo chciała, żebyś chociaż mnie odzyskała. Ja się ciebie nie wstydzę.

ANNA: Pokaż twarz.

BARBARA: Dawno, dawno temu, w czasach które minęły, lecz znowu powrócą, brat mi pokazał jak się masturbować. Usiedliśmy obok siebie i każdy zajął się sobą. Miałam siedem lat, on jedenaście.

BRAT: Już wtedy wiedziałem, że lepiej, żebyś była samodzielna.

BARBARA: Inne dzieci nie chciały się wcale z nami bawić.

BRAT: Inne dzieci rzucają w nas ciągle kamieniami, nie wiadomo czy chcą trafić w głowę, czy tylko nastraszyć.

AGNES: Dziecięca masturbacja, jako łatwo dostępny sposób rozładowania napięcia emocjonalnego, może stać się utrwaloną formą zachowań ucieczkowych, być kołem ratunkowym dla dziecka w sytuacjach, gdy przeżywa ono silne napięcia lękowe.

BARBARA: Potem siadamy tak koło siebie codziennie, aż po roku każdy znalazł swoje ciche miejsce.

BRAT: Widziałem jak wycierałaś sobie oczy, lecz nie widać było łez.

AGNES: Jeśli mama rzeczywiście była nieco niestabilna, czas w celi tylko pogłębił jej stan.

BARBARA: Mam dwanaście, trzynaście lat. Pierwszy raz oglądałam się cała w lustrze.

OJCIEC: Od dziecka więcej jak pół dnia spędzała przed lustrem. Stała, leżała, jadła, nawet spała przed lustrem.

BARBARA: Mam wrażenie, jakby w ostatnim czasie wszystko mi spuchło, nawet tam, gdzie nie przypuszczałam, że jakieś rwące płyny mogą się wezbrać przeciw mnie. Nie wiedziałam, że ciało może tak zaskakiwać, chciałam się kogoś zapytać, co się dzieje. Co się dzieje, że nie chcę już sama. Co się ze mną dzieje, że nagle mam takie pokusy: zapachy, barwa męskiego głosu, widok nagiego przedramienia, takie pokusy, żeby ugryźć, chociaż polizać. Co się dzieje, że pokusy są takie bolesne? Co się dzieje mamo?

BRAT: Mama nie żyje od lat.

OJCIEC: Wysłałem cię do sąsiadki.

BARBARA: Kazała mi się w zimniej rzece kąpać, szczypać jak mnie ktoś zaczyna ruszać, a jak to nie pomaga, to lepiej sobie rękę uciąć i oko wydłubać. Oko i tak mi ktoś w końcu wydłubie przy znienacka zbliżeniu pod mostem.

OJCIEC: Nie raz żałowałem, że cię nie zostawiłem sąsiadce, ona by ci te linię życia wyprostowała.

BARBARA: Mam w sobie jakieś, nie wiem, zwierzątko, który niby jest mną samą, ale zarazem czymś ode mnie różnym, czasem, właśnie teraz zyskuje ono nade mną całkowitą władzę.

OJCIEC: Przestań się po mnie wspinać, jesteś za duża, żeby siadać ludziom na kolanach czy wskakiwać na plecy.

BARBARA: Żadne zwierzę nie jest ani za duże, ani za stare, żeby poczuć jak ten świat ożywiony i nieprzewidywalny wzbiera w nim do utraty tchu, porywa i niesie.

OJCIEC: Mam dla ciebie na drogę buty po mamie, szkoda ich było z nią do ziemi włożyć, prawie nowe, a ten kolor też taki, nie wiem czy nie za krzykliwy do trumny.

BARBARA: Pasują pięknie, ale gdzie mam w nich odejść?

OJCIEC: Próbuje sobie szukać swojego sposobu przeżycia.

BARBARA: Czemu dać się ponieść?

OJCIEC: W końcu na każdego jest w mieście zapotrzebowanie, czasem trzeba się tylko troszeczkę oddalić.

BARBARA: Zaczyna się ściemniać. I ściemnia się przede mną, przed tobą.

OJCIEC: Mów, że jesteś pojętna i szybko się uczysz.

BARBARA: I tak nikt mi nie uwierzy.

OJCIEC: Nie umiałem się z córką obchodzić wtedy, nic mnie w niej nie interesowało, nie wiedziałem, jak się z takimi osobami postępuje, co zamiast chodzić, podskakują, zamiast mówić, podśpie-

wują, chrząkają. Boję się jak za długo na mnie patrzy. I chodzi w samej tylko halce. Ile to już lat ze mnie wdowiec?

ANNA: Ale po co my ją w ogóle wyciągamy, jeśli dla każdego niesie jakieś zagrożenie? Ile lat mi zajęło, żeby się od jej obrazu uwolnić, zapomnieć ją na wszystkich planach czasowych.

ALICJA: Po pierwsze, matka powinna być usytuowana tyłem do zgromadzonych, z zawiązanymi oczami, żeby nie mogła rzucić uroków i bezzasadnego poczucia winy nie rozlewać po dzieciach.

ANNA: Wolę się zająć sobą, póki mogę. Mam do tego lepsze warunki, współczesne przygody, nie muszę się z matką na siłę identyfikować. Owszem jest punktem wyjścia dla nas i niczym więcej.

OJCIEC: Żadnej z was nie ma nigdzie zapisanej. Nic, ani lat urodzin i śmierci, żadnych wydarzeń, nic nie wiadomo o imionach, nawet płeć wasza nie jest pewna. Za to matka zasługuje na poważne potraktowanie. Musimy ją odnowić i wyklarować, zanim ją oddamy ekspertom. I po to was dziewczynki zwołałem, żeby z waszą pomocą ten klarowny portret uzyskać. Nie jesteście niczym więcej jak córkami, inna wasza funkcja mnie nie interesuje i będę ją ograniczał.

ANNA: I cóż jest w tobie tak wyjątkowo zdewastowanego, żeby budzić litość i trwogę? Ciebie spała, ja się powieszę, ty zginiesz pod wozem, a ty się zapisiesz na śmierć. Żadne opisy, analizy, badania nie zmienią takich jak my odpadów w diamenty.

BRAT: Tylko wyciągając bezwstydnie swoje marne opowieści, możemy odwrócić los.

ANNA: Ale nie nauczono nas snuć opowieści, tylko skarżyć się i drzeć gębę bez opamiętania. Do czego mamy wracać? Jakie wysuwać roszczenia? Co mamy tak naprawdę do zaproponowania poza swym wątpliwym cierpieniem?

ALICJA: Brzydotę, samotność, dziwaczność, chorobę dziedziczną i biedę dziedziczną, matkę niby-czarownicę, matkę z ostatnim stosem Europy, matkę, która się nie może i nie chce wydarzyć – z takich materiałów niejeden stworzyłby bestseller.

ANNA: Niewiele pamiętam, nie znam żadnych ćwiczeń które obudzą te dni beztroskie, które kiedyś chciałam odtwarzać w nieskończoność.

ALICJA: W matce tkwią najprawdziwsze moce. Sama widziałam, jak oczami wypaliła studnię, z której krew trysnęła na tłum gapiów, co przyszedł patrzeć, jak jej wyniszczone ciało ogień bierze.

AGNES: Musimy ją pomścić. Potomkowie sprawców mają dziś w ręku subtelniejsze stosy, gilotyny, majątki po tysiącach takich matek. Jestem za tym, żeby w ramach porachunku, tym razem skutecznie podpalić to okrutne miasto, choćby zamek, gdzie ją 1467 dni trzymano i 1258 razy brano bez pytania, grupowo, parami, brzemienną, w połogu, w agonii.

BRAT: Nie zachowały się żadne nazwiska, daty, żadni świadkowie, nie sposób tego już zrekonstruować.

JAKOB: Piekarz Hirszt krzyczał, że nie będzie na dziecko z celi alimentów płacił, bo całemu miastu strażnicy stręczyli Barbarę, podobno nawet sędziego Goldberg nie mógł się powstrzymać.

BARBARA: Lubię sama na siebie patrzeć i jak ludzie na mnie patrzą, nawet jak nic nie mówię, tak ja teraz, nawet jak udaję, że ich nie dostrzegam. Chciałabym coś zrobić z tym widokiem, żeby się nigdy nie kończył, żeby mnie ktoś namalował i zrobił kopię, chciałabym kopię siebie wszystkim ofiarować.

OJCIEC: Niech to będzie obraz z celi, wszystko co pamiętasz: twarz, nazwiska, rozmiar, zapach.

BARBARA: W celi było ciemno.

AGNES: Pokaż się mamie. Wszystkie zadrapania, każdego z oprawców nazwij po imieniu, nie pomini nikogo: męża, ojca, brata. Ja cię będę asekurować w całej opowieści, nie będę robić korekt, ani retuszować.

BARBARA: Przyszłam wtedy wieczorem z cmentarza i krwawię i boję się, że się wykrwawię.

OJCIEC: Sąsiadka powiedziała, że kobiecie sprawy.

BRAT: Najpierw trzeba rozpoznać twarz, miejsce, porę roku.

BARBARA: Pomagałam stryjowi grób cioci wyczyścić. I zachciało mi się bardzo siku, a ziemi świętej nie wolno z fizjologią mieszać. Stryj zaprowadził za ogrodzenie i kazał, żebym się na śmietniku załatwiła i miał mnie zasłonić. Chociaż nie wiem przed czym. Zasłaniał coraz bliżej i ciężej. Aż się przewróciłam na plecy.

OJCIEC: Stryj K. zeznał na łożu śmierci pod przysięgą, że cię o pomoc nie prosił, żeś sama za nim poszła.

BARBARA: Na śmietniku mam dwanaście lat i za duże ciało, na którym dzieje się rzecz, której nie rozumiem. Ale mnie i tak nie ma w tym ciebie, jestem gdzieś dalej, ponad nim lecę na dywanie, na miotle w odległe krainy, do góry nogami, gdzie czekają na mnie siostry, ciotki, babki i gotują wywar z takiej jak stryj świni jeszcze żywej. Lecę sobie ponad tym biednym śmietnikowym ciałem i liczę do trzystu. Ciało, choć za duże, nie ma szans z wielkością i siłą odśrodkową ciała stryja, które szarpie, ściska, wbija się i sapie i znowu się wbija. Mokre, sztuczne kwiatki – w końcu października śmietniki pełne miękkości kolorowej – pasują do ciała w rozkroku. Stryj się rozpędza bardzo nieprzyjemnie, jakby nagle zdziczał. Obciera, szarpie tkanki miękkie, chce się przedrzeć jeszcze mocniej i dalej. Do czego chce się dobić? Dajcie trochę kwiatów, jak już muszę sobie przypominać plastikowe łądygi odbite na plecach i nogach. I znowu liczę. Kwiaty się trzęsą, głowy się trzęsą. Moja uderza o murek. Liczę. Jeśli potrzeba się przyjrzeć, policzę na głos, powolutku. Dochodzę do dwustu dwudziestu ośmiu. I cisza. Stryj szybko wstaje i mówi, że już jestem duża i że widać podobieństwo do cioci i kuzynek. I że pięknie pokwitam na górze i na dole. I że tata pewnie jest dumny i niedługo za mąż mnie wyda. Wuj mówi, że tak się zawiera dorosłe przymierza, w tajemnicy. Do kieszeni dał mi jakieś drobne na ciasteczka z makiem. Ale i tak przysięgałam sobie, że nie będę więcej pomagać sprzątać cudzych grobów.

OJCIEC: Jeszcze raz, dokładniej, krok po kroku i nie mylić kroku. Ważne będą szczegóły, daty, godziny, czas zdarzenia, czas trwania, czas bez wątplenia we wszystkim jest ważny.

BRAT: Muszę wspomnieć, że stryj to brat bliźniak taty, zawsze pożyczył gotówki i o zwrot nigdy się nie upominał. Podobnie jak tata, wdowiec. Zmarły z przepicia przed dwoma laty.

AGNES: Po fazie szoku ofiara próbuje powrócić do swojego życia. Stara się widzieć siebie jako incydent z przeszłości. Lada dzień powrócić powinny palny, marzenia, potrzeba bliskości mimo braku zaufania.

BARBARA: Nie mogę przestać być sobie posłuszna.

ALICJA: Od czasu incydentu rozeszły się plotki, że zatrulaś rzekę, że przez ciebie wójt dostał uroku, że słuchają cię gwiazdy, że potrafisz spojrzeniem wywołać padaczkę i szkorbut, ale że też jednym spojrzeniem leczysz impotencję i miazdżycę prącia. Słuchają cię wilki i ptaki.

BARBARA: Mam macicę, która od czasów Platona „wędruje” wywołując choroby przewlekłe i nieuleczalne. Jest podwójnie groźna. Po pierwsze, jako narząd nienasycony, po drugie – bezdenny.

OJCIEC: Ktoś musi poświadczyć, na pewno w październiku byli na cmentarzu inni sprzątający, albo chociaż grabarz.

BARBARA: Kto raz weń wstąpił, bywało, że nigdy nie wrócił. A jak wracał, to bardzo odmieniony, raz ślepy innym razem niemy albo dziki. Widziano jak taki ocalony publicznie rzuca się i na dziecko i na mężczyznę i gryzł gdzie popadnie.

JAKOB: Nie boję się wędrujących zwierząt, sam dużo wędruję. Zdaje się, że mógłbym cię oswoić, a jeśli jaka dzika bestia wewnątrz wyrządza ci szkodę, ja jej utnę łeb i cię wyzwolę. Niczym Perseusz umiem ustawić się tyłem i ze szklistych odbić czytać znaczące sygnały.

BARBARA: Graj parobku, ciebie dobrze mi przywołać, tylko z tobą warte życia chwile. Wesole, do czasu beztroskie.

JAKOB: A dacie zajrzeć pod spódnicę?

BARBARA: A ja się tak obracałam, tak wirowałam, a te buty, co mi po matce zostały, same mnie niosły, a zdjąć ich nie sposób, niosły do młodych parobków, na przeciwieństwo ojca i stryja.

JAKOB: Skończyłem cztery klasy, ale w domu był instrument. I ten mnie instrument w świat gna i prowadzi. Ale wy, pani, zupełnie melodię zostawiacie w tyle, a i spódnice się pani wcale nie trzymają, zaraz je wiatr porwie na strzępy.

BARBARA: Sama się zatrzymać nie mogę.

JAKOB: Potłuczona pani, tu rana, tam blizna i znowu zadrapanie. Trzeba liść przyłożyć i tu też przyłożyć. I podmuchać.

BARBARA: Potłukłam się cała uciekając. Od dwudziestu lat nikt mnie nie zatrzymał. Tak w pędzie się dzieje, w obrocie, dookoła, że zdaje mi się, że mam wokół głowy pięć par cudzych oczu.

JAKOB: Jak zaśpiewam do tej melodii skocznej, to dacie dotknąć odrobinę wyżej?

BARBARA: Podobnoś ty dziecko, ale po co czekać aż się smutno zestarzejesz, co złapiesz to twoje.

JAKOB: Tu bym zaśpiewał ludową piosenkę do łydki, do uduka, do tych miejsc gdzie straszy.

AGNES: Dlaczego żaden dorosły nie powiedział jej, co jest złe i kiedy trzeba zasłonić oczy dla własnego dobra. Dlaczego nikt jej nie pokazał, że są jednak sprawy, których należy się wstydzić? Dlaczego dorosły odwraca się w stronę teorii, za pomocą których jeszcze nikt nikogo nigdy nie wyleczył?

OJCIEC: Z jej temperamentem nic się kupy nie trzyma, trzeba poprawiać, pilnować. Jak uszlachetnić takie dzikie rysy? Oczy ludzkie nie powinny tak przecież wyglądać.

BARBARA: „Wyczyszczę wam podłogi w tradycyjny, stary sposób. Własnymi rękami i na kolanach”. Nie dali mi jeszcze zatrudnienia, pracuję za dniówki.

JAKOB: Na kolanach możesz bliższe twej postaci talenty rozwinąć i rozliczać się z godzin, nawet z minut.

BARBARA: Wolność jest tu tylko rekwizytem. Jeśli siła pozwoli, można ją przestawić, można nawet się w niej zamknąć, ale czy my, parobku, umiemy się z nią obejść bez szkody dla siebie nawzajem?

JAKOB: Ze mną unikniesz warunków, które zagrażają życiu, nawet z drzewa umiem mleko wydobyć.

BARBARA: Raz się jedyny racjonalnie pytam, więcej nie będę.

AGNES: Wszyscy i tak pozbywają jej się w sposób wygodny i niekłopotliwy.

OJCIEC: Jeśli mamy wspólnie zawalczyć o sprawę, musimy jeszcze raz cofnąć się do incydentu. Tam się wszystko zaczyna, jeśli się zaczyna.

BARBARA: I tak nikt mi nie uwierzy.

OJCIEC: Czy na cmentarzu mógł być wtedy jakiś jeszcze człowiek?

BARBARA: Nie słysząc żadnych kroków.

OJCIEC: Czy kogoś idąc tam minęłaś, kto może świadczyć, że miałaś wtedy brązową sukienkę?

BARBARA: Nie jestem pewna brązów, ani szarości. To nie są kolory, to smutne tła dla żywych czerwieni, fioletów.

OJCIEC: Czy było cicho, czy śpiewały ptaki?

BARBARA: Nie odbijam się echem, nie ma się co odbić, bo krzyk się w przeliku zatrzymał, deformując mi wargi i nozdrza na lata.

BRAT: Pamiętam, że od wtedy nos sam zaczął ci się marszczyć jak u wystraszonego zwierzęcia. Nawet mnie się bałaś, widziałem po minie. Niestety ta mina się utrzymywała.

OJCIEC: Niedaleko cmentarza jest plac, gdzie bawią się dzieci?

BARBARA: Nie słyszę żadnych rozkrzyczanych dzieci.

OJCIEC: Chociaż niech się pojawią znaki szczególne: znamiona, rozmiar, wygląd, coś co nie może uciec spod kontroli wzroku.

BARBARA: Brud pod paznokciem stryja, którym mnie na początku zbadał i smród, jaki roznosili w tamtych czasach wszyscy w twoim wieku. Nie było płynów, mydła, ani odświeżaczy. Chłop śmierdzał gorzej niż cap, zwłaszcza stary. Sam siebie nie czuł i do dziś nie czuje.

OJCIEC: Chcę ci tylko pomóc rozwiązać wątpliwości.

BARBARA: Nie spodziewaj się po mnie żadnego sukcesu.

OJCIEC: Wiedzę należy uporządkować, wyznaczyć kierunek i stworzyć z niej schemat. Inaczej przypadnie i ty prześlizgniesz się bez komentarza w morzu liczb ofiar katastrofy.

BARBARA: Sama sobie przestaję wierzyć, może mi się wydaje. Sama się sobie wydaję obca i ty mi się wydajesz być z obcego świata.

OJCIEC: Jeszcze raz trzeba świadectwa poskładać logicznie, wydobyć o wiele, wiele więcej szczegółów, drobnostek, liczb i fotografii.

BARBARA: Nie da się poskładać tego, co się ciągle dzieje, jak przyszłość i przeszłość, wymieszane razem w najgorszych przeczuciach. Nie mogę nimi ani zwymiotować, ani ich wybiegać, ani zetrzeć, zdrapać czy ładnie zaśpiewać.

OJCIEC: Z drugiej strony, czy stryj nie był za chudy, żeby cię przewrócić i długo przytrzymać?

BARBARA: Czy ja się o coś sama proszę, dopominam?

OJCIEC: Na ile minut człowiek małej masy był w stanie cię unieruchomić?

BARBARA: Każdy z napotkanych inne miał potrzeby czasowo-przestrzenne, to nie zależy od masy. W celi chyba mnie przywiązywali biedni strażnicy. Chyba rękawami sukni, nie wiem czy mojej, czy takiej, co została po innej skazanej. Przed widzeniami dawali mi wypić, żebym się nie poruszała niepotrzebnie i nie dekoncentrowała gości, bo w warunkach więziennych nie każdemu wzwód uzyskać łatwo, a potem nim celnie wymierzyć. A jak inni patrzą, a zawsze patrzą, to już naprawdę zaczyna się sztuka.

OJCIEC: Wolisz jak patrzą, bo twoje zeznanie prowadzi donikąd, wodzisz nas po ciemku przez zakamarki, w których nie sposób nikogo rozpoznać.

BARBARA: Nie patrzę im w oczy, nie pamiętam twarzy. Zresztą nie chcę, żebym patrzyła. Tak sobie mnie ustawiają, odwrócają, żebym zawsze miała przed oczami podłogę lub ścianę. A wcześniej na polanach musiałam patrzeć na stado i owce rachować.

ANNA: Ale musiałyśmy mieć jakiś ojców, jakieś pochodzenie.

BRAT: Do czasu chodziłem i obserwowałem z troską. Zaraz po cmentarnym incydencie, czyż nie pojawił się żołnierz i marynarz? Obaj niestety przejazdem, nie zachowały się żadne cechy szczególne ani osobiste. Obydwa stosunki miały miejsce pod drzewem, nad rzeką, trwały obydwaj do, góra siedmiu, ośmiu minut. Żaden z mężczyzn się z imienia nie przedstawił.

BARBARA: Nie pytałam o imiona. Nie pytam z reguły, czasem komuś sama nadam imię.

BRAT: Pytałaś dwa razy.

BARBARA: Marynarz dał mi rysunek latarni i obiecał, że kiedyś po mnie wróci.

ANNA: Niech się zaświeci latarnia morska tak, by było ładnie jak kiedyś, jak czekałyśmy wszystkie aż marynarz wróci, śpiewając. Co my wtedy śpiewałyśmy? To jedyna pieśń, której nas nauczył.

AGNES: „On zimny, on zimny, ona gorąca.”

ALICJA: „On nie chce, on nie chce, ona go trąca.”

ANNA: Nie dziwię się, że nikt nigdy nie wrócił.

ALICJA: Wróci po mnie i po mamę, ten w czerni, z kopytami zamiast obucia i przyrodzeniem czarnym, twardym jak węgiel. I słonym jak ocean. Matka wszystkim rozповідаła, że dał na moje szkoły monety złote w obcej walucie, że kazał mnie kształcić. Gdzie są moje wyprawki szkolne? Gdzie mundurek? Gdzie ołówki i bloki?

BARBARA: Pobaw się mną jak lalką, możesz mnie czesać, ubierać, malować.

ALICJA: Mama mi czesze włosy, to boli. Matka czesze mi włosy, to boli. Matka, jak mi czesze, to boli. Wszy nie umie wyczesać.

BARBARA: Pobaw się mną, zanim cię wygonią strażnicy.

ALICJA: Strażnik mówi, że mogę patrzeć z góry, kiedy masz gości. Z góry i tak niewiele zobaczę. Dał mi też pałkę i kazał, żebym ci ją włożyła, gdzie mi się podoba. A ja nie wiem, gdzie mi się podoba.

BARBARA: Mamie jak lalce możesz wyrwać rączkę albo główkę. Wydłubać oczko. Możesz jej przebrać buciki.

ALICJA: Chcę twoje buciki.

BARBARA: Tobie może będą posłuszne.

ALICJA: Zaraz sobie ścięgną ponaciągam. Ała, ała! Bucików się nie da ściągnąć. Nie da się. Czym je przykleiłaś? Diabeł ci przykleił?

BARABA: Wyrwij nóżki, po co się takie ładne buty mają w ogniu spalić.

ALICJA: Czarny pan powiedział, że nie pozwoli cię spalić jak będę posłuszna. Czarną karetą przyjedzie po mnie i po ciebie.

BARBARA: Codziennie czekamy i nikt nie przyjeżdża, ani konie, ani karety.

ALICJA: Obiecał, że przyjedzie i da nam tyle piwa i tyle kiełbasy i cukierków, ile się w żołądkach zmieści. Nie po to go tyle razy całowałam, żeby tylko czekać. Pokaż mi jakąś sztuczkę, jak wywołać czarta, albo chociaż zamieć. Obiecałaś.

BARBARA: Mówiłam tak tylko dlatego, że tak nie myślałam.

ALICJA: Nie dam rady z tymi bucikami.

BARBARA: Krzyczą, że koniec odwiedzin, koniec wizyty.

AGNES: Ławnicy w dobrej wierze, każą jej się rozebrać do naga. Po czym robią szkice obrażeniom po strażnikach i gościach strażników. Mówią, że ofiara musi w trakcie całej sprawy dużo płakać.

BARBARA: Nie płakałam, dalej nie chce mi się płakać.

AGNES: W celi ja jej tymi malutkimi paluszkami wydaję spod języka tabletki, dzięki którym miała być radosna i cicha.

BARBARA: I nie będę płakać.

AGNES: Nie chce wypluć. Wypluj, otwórz buzię! Oddaj! Z twojej buzi do mojej, płynnie, bez szarpania. Jeszcze raz wypluj, jeszcze to, co pod językiem. Pluj! Nie możesz się każdej substancji ludzkiej czy chemicznej poddawać. Nie pozwolę ci się dłużej pławić w gównie bezbronności. Podnieś głowę! Wyżej! Tak ją masz trzymać. Nie jesteś tylko tym, co zrobiły z ciebie czasy, okoliczności, historia, obślizgłe cielska strażników, piekarzy, lekarzy, żołnierzy. Jesteś też czymś więcej, dużo, dużo więcej. Ja też muszę być czymś więcej. Czymś więcej niż co? Gdzie jest to więcej? Sama się do tego więcej nie potrafię dobić. Ale z tobą w parze każdego dnia ten horyzont będzie się powiększał. Na początku może tylko o centymetr, potem o dziesięć, a potem o metry.

BARBARA: Jednak ja już wybrałam człowieka do pary.

JAKOB: Tak, tak nieważne, co z ciebie zrobiono, ważne, co sama zrobisz z tego, co z ciebie zrobiono.

BARBARA: W czasie, który mi pozostał, nie będę się wstydzić, bać, i szukać litości.

JAKOB: Masz jeszcze dwa niezrównane akty, żeby oddać się dowolnej przygodzie.

BARBARA: Jak zechcę, to sobie tobą szyję oplączę i zobaczę, dokąd mnie pociągniesz.

AGNES: Też nie umiem myśleć samodzielnie, też bym się na twoim miejscu na jednego samca zdała, żeby mnie udomowił i obronił przed wszystkimi innymi i przed całym światem.

JAKOB: Niczym prócz głosu i tego czego możesz dotknąć nie dysponuję. Wiemy, że wcześniej czy później będę musiał zniknąć.

BARBARA: Szukałam powodu, powód musi być młodszy od przyczyny. Impulsywny, lekkomyślny, powód, który sam siebie czyni znakiem zapytania.

JAKOB: Jestem taki sam jak oni wszyscy, tylko w zwolnionym tempie, co ci nie pozwala rozpoznać tych samych gestów i ruchów języka, jakie przecież wykonują inni przed mną i za mną.

Lecz do mnie z jakichś powodów chcesz się dopasować. Jest mi to na rękę teraz, póki mróz i zima.

BARBARA: Dostosuję moją prędkość do twojej prędkości.

JAKOB: Tacy jak my nie wiedzą co robić, nawet jak im się da środki, przestrzeń i kawałek lasu. Nie wiedzą, jak się wyrazić subtelnie, nie mają korzeni i planów.

BARBARA: Kochaj mnie tak, jakby wczoraj się nie zdarzyło i jutro miało nigdy nie nadejść. Jakby nie było przodków i potomków. Jakby się ziemia miała zaraz rozpaść.

JAKOB: Wystarczy, że raz nad nami las zaszumi.

BARBARA: Jakby nie było wczoraj i jutro miało nigdy nie nadejść.

JAKOB: A potem nadchodzi jutro i pojutrze i rzeczywiście okazuje się, że nie jest przeznaczone dla takich jak my, w których ciągle los nie uruchomił żadnej siły sprawczej. I znowu trzeba się zdać na teraz, bo do jutra nie da się wcale żywić zaufania.

ANNA: Matka wszystkim parobkom mówi, że ich kocha jakby nie było wczoraj i jutro miało nigdy nie nadejść.

BARBARA: Mówię, że kocham, ale zdaje mi się, że czuję tylko pożądanie.

JAKOB: Mnie takie „kocham” zupełnie wystarczy, po co ciągnąć słowa miesiąc za miesiącem, aż się zupełnie wytracą.

BARBARA: Kocham bardzo, raczej dołem ciała.

OJCIEC: Skoro po cmentarnym zdarzeniu próżno szukać śladów, nie słyszać echa, nie widzieć świadków, powinniśmy przejść do miejsc, gdzie będzie możliwy przegląd bardziej bolesnych obrazów.

BARBARA: Powiedział mi raz pewien duchowy masażysta, że w historii swojej trzeba się zakochać, trzeba ją rozwijać i dać się jej wchłonąć. Co się próbuję z parobkiem rozwinać, zaraz mi przerwacie.

OJCIEC: W incydencie drugim mogę przynajmniej ocenić stopień natężenia przemocy, przygotować obdukcję, stworzyć szczegółowe profile łowców i ofiary.

BARBARA: Sprowadzasz mnie tylko i wyłącznie do materiałów korekcyjnych i edukacyjnych.

OJCIEC: Zdaje się, że to właśnie przy drugim zajściu skradziono ci oko. Pusty oczodół świadczy, sam z siebie upomina się o wyjaśnienie sytuacji, która za nim stoi.

BARBARA: Czy muszę się znowu zapuszczać w światy, w których widać mnie tylko w pozycjach ofiary?

OJCIEC: Właśnie ofiarą z każdej strony jesteś, nie masz wspomnień, w których mogłabyś zwycięską twarz zachować. Parobka zaproszę, kiedy dla rozbudzenia pamięci wzrokowej będzie potrzebna ludowa melodia, emocjonalny piruet.

JAKOB: Widzowie oczekują emocjonujących zdarzeń, wielu zwrotów akcji, atmosfery grozy, podniecenia. Jeśli cierpienia, to takiego, które prowadzi do nieprzewidzianych rozwiązań, gwałtownych porywów, ale przede wszystkim nadziei, nawet w najbrudniejszym mroku. Takich oczekiwań tylko moja osoba może być spełnieniem.

BARBARA: Graj parobku, graj, żeby się choć na moment od tego losu przykrego uwolnić. Graj, niech mi taniec rozerwie spódnice, niech mi wypadnie to, co dotąd nie zdołało wypaść.

ALICJA: Czyje te cienie, co za tobą tańczą, kto je rzuca? Czemu się chłopem odbijasz na ścianie?

OJCIEC: Drugi opisany sprawca był żołnierzem, nie musiał się chować za instrumentami, ani za śmietnikiem.

BARBARA: Akurat uciekł obławie. Zapytał, czy mogę wesprzeć bohatera, co właśnie uniknął kuli prosto w serce. Powtarzał: bagnet, ojczyzna, pierś, bagnet, pierś, ojczyzna, może jeszcze honor albo naród. Żal mi się zrobiło, a może nawet mi się w tej prośbie spodobał. Pierwszy raz byłam w pobliżu mężczyzny mówiącego szeptem, bezwstydnego w strachu i słabości. Bandaż na ramieniu miał brudny i lepki, prosił żebym ranę czystą wodą przemyła. Weszliśmy do chaty. Właśnie wycinałam z prześcieradła świeży opatrunek, kiedy dwóch milczących towarzyszy broni weszło za nim głośno, bez pukania. Pewnie niżsi stopniem, pewnie nieraz już mu służyli rękami, oczami, kopytem. Położyli mnie piecu do połowy, zdarli suknie, zostały tylko buty. Jak zawsze tylko buty. Mój ranny bohater wcale postrzelonej ręki nie musiał używać, zdrowej zresztą też nie. Grubszy z kompanów celnie go we mnie wprowadził, użyczywszy mu obficie flegmy. Drugi z nich mi użyczył flegmy ciemnej i gęstej. Aż się rozlało po podłodze. Na mokro łatwiej mieć złudzenia. Ruchy jego ostrożne, niespieszne, jakby sam siebie próbował oszukać, a może się usprawiedliwić. Policzyłam do czterystu,

22

a potem zaczęłam litanie. Chudszy kompan nalał mi do ust piwo jakieś gorzkie, wypilałam w trakcie około pół litra. Wymienili się między sobą może ze trzy razy. A mi się już skończyły z pamięci litanie, modlitwy. Nie było po co krzyczeć, nie było nikogo. Nie było po co walczyć, nie było za kogo. Ten od piwa wsypał mi do oczu pył pachnący, żebym nie płakała. Nie płakałam, przywykłam do sytuacji, jak do wszystkiego, co na wstępie wydaje się niemożliwe czy niespodziewane. Po wszystkim ranny bohater przeprosił i podziękował, tłumaczył, że na polu bitwy musi się stawić juto o świącie. Ale jak Bóg da wróci, to może by się ze mną ożenił, jeśli będę chciała. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, powycierał mi nogi i pocałował w czoło, na czole kreśląc znak krzyża.

OJCIEC: Oddaj tę chusteczkę, trzeba ją dopisać do listy dowodów rzeczowych.

BARBARA: Dziś bym żadnego z nich nie rozpoznała. Żadnego nie rozpoznaję. Po jednym razie trudno wyrazić pamiętać, jak mi się ktoś raz przedstawi, nie umiem pamiętać imienia.

ANNA: Ja bym od razu poznała.

OJCIEC: Chusteczka za to by dziś rozpoznała, a ty wszystko gubisz i sama się gubisz. Nie pozwalasz się nikomu ocalić, nikomu ratować.

BARBARA: Czy ludzie naprawdę chcą tego słuchać? Czy mają teraz przed oczami kogoś, kto ma takie jak ja doświadczenia? Co z taką jak ja lepiej zrobić? Niech opowiada, czy nie opowiada?

Ja się sama wstydzę, zwłaszcza, że nie jest to niestety literacka fikcja. Co robić jak się nie ma siły, i nie chce być ciągle samemu przez siebie brany za ofiarę. Czyż nie pozostaje mi nauczyć się czerpać rozkosz z własnej bezsilności?

OJCIEC: A oko? Kto ci zabrał oko?

BARBARA: Samo mi pod mostem wypadło, żebym nie płakała.

ANNA: Ja bym od razu poznała. Przynajmniej jednego w lustrze od razu poznałam. Patrz, jak się teraz do dziś ze mnie i z ciebie podśmiewa. Nie umiem się oderwać od zwierciadeł, nawet w witrynach sklepowych, szklankach, cudzych okularach szukam w swoim odbiciu jego odbicia, które bez przerwy ze mnie szydzi. Jakby mi chciał powiedzieć: im bardziej się zmieniam, tym bardziej

jestem jako on, taka sama. Widzisz, jak się we mnie ujawniają jego prymitywne rysy, wzrok głupi i głodny? Nie zaprzeczaj, że nie jestem prawie taka sama. Nie kłam. Nie zaprzeczaj. Widzisz, jak we mnie dojrzeła jego skłonność do rozkazów. Nie ucieknę przed tym, co się w moich rysach odbija, co w mojej krwi się pławi i krąży nienasycone. Jakby się przed mną teraz mógł pojawić? Teraz, teraz, teraz!

BARBARA: I tak by w ciebie nie uwierzył.

ANNA: Uwierzył, a może lepiej, żeby nie uwierzył. Zwabiłabym go do izby tej samej, co mu rękę miałaś opatrywać. Rozebrałabym go, przywiązała do pieca, tego samego co ciebie na nim położyli. Zapaliłabym w piecu. Kiedy by już na nim leżał bezbronny i nagi, tak jak ty leżałaś, palenisko by się szybciotko nagrzało, parzyło bez litości. Najpierw bym się przedstawiała, choć przez podobieństwo chyba bym nie musiała się przedstawiać, a jakby już coś odpowiedział na przywitanie, to bym mu z czystym sumieniem wyrwała wszystkie zęby obcęgami. Jak by się nie dało wyrwać, wybiłabym młotkiem. A do jamy ustnej najpierw bym naszczała, a potem nalała smoły, żeby nie mógł wypowiedzieć ostatniego słowa, a nawet sylaby. Wydłubałabym mu oko, tak jak oni tobie wydłubali, a w pusty oczodół nalałabym wrzącego oleju, aż by się mózg zaczął gotować i przywoływać gorące obrazy. Otworzyłabym mu wnętrzności i zaprosiła głodne koty na gościnę. Jeszcze bym tranem rybim posmarowała, żeby się nie brzydziły, bo podobno złego nawet się zwierzę brzydzi do ust wziąć. Jakby jeszcze był świadomy i oddychał, to bym go obcinaczem do paznokci powolutku wykastrowała, począwszy od moszny. A jakby jeszcze żył, to bym po prostu podłożyła do pieca. A jakby się już zaczął smażyć, to bym solą doprawiała i pieprzem cayenne. I śpiewała „On zimny, on zimny, ona gorąca”.

JAKOB: To kino wyjątkowo brutalne, zdaje się, że przed takim obrazem człowiek kapituluje.

ANNA: Graj parobku, żeby się nam w piecu nie zgasło.

JAKOB: Muzyk czy artysta, do wyrażenia takich klasy C afektów talentu nie będzie zużywał.

ANNA: Graj, bo chyba zaraz się powieszę.

JAKOB: W romantycznym, samotnym konaniu, mogę towarzyszyć nutą kojącą lub dramatyczną.

ALICJA: Męczennice, dziewice skępowane łańcuchami, powieszone, zamęczane i palone żywcem, to pierwsze obrazy wywołujące we mnie uczucia natury silnie erotycznej.

ANNA: Będę się teraz w nieskończoność wieszać i jak kamień syzyfowy spadać odcinana. Choć nie zdążyłam nawet przestudiować swojej twarzy.

AGNES: Czemu mnie tu postawiono na straży, jeśli nie mogę nikogo ratować, chronić, ani za kim się wstawić. Im bardziej się zmieniałam, tym bardziej wszystko wokół pozostaje takie same. Myślałam, że jak dorosnę, świat wokół też stanie się dorosły.

ANNA: Obetnijmy paznokcie i kosmyki włosów i zostawmy je tu, w tym miejscu dokładnie. Dzięki temu twoja dusza, moja dusza, twoja dusza na zawsze połączy się ze sceną i zapuści korzenie. Bądźmy wolne jak wiatr nie tracąc korzeni.

OJCIEC: Krążymy, drepczemy w miejscu, bez dowodów, bez świadków, nawet bez miejsc akcji. „Sprawa Barbary Z” nie jest po to, żeby Barbara, wraz ze swym prychówkiem, oddawała się emocjom jak jej się podoba: chaotycznie, bez sensu i bez znaczenia.

BRAT: Powinniśmy wreszcie sięgnąć po nowsze metody, oddać się głębszym poziomom doświadczeń i racji.

OJCIEC: Emocje potrzebują zostać ukierunkowane na cel.

BRAT: Twoimi narzędziami nie da się nic więcej wyprowadzić.

OJCEC: Droga nie może prowadzić donikąd.

BRAT: Nie idziemy drogą, tylko pajęczyną.

OJCIEC: Spróbuj ją, nas, z niej wypłatać.

BRAT: Postaram się wykresem pamięci, testem prawdomówności i zdolności kojarzenia faktów, punkt po punkcie sprostować zeznanie ofiary.

BARBARA: Cały czas usiłuję cię rozpamiętać, a ty się przed mną chowasz jakbyś się obawiał, że ja to już nie ja.

BRAT: Każdemu obrazowi, który przypomniałaś, dodam przypis, który wyjaśni, co się w tobie działo i skąd się to wzięło. I co się teraz dzieje.

BARBARA: A jak sprawdzić, czy ja to jeszcze ja?

BRAT: Stań nad przepaścią szeroką na dwieście lat i spróbuj przeskoczyć.

BARBARA: Test na zaufanie.

BRAT: Ze mną się nie osuniesz.

BARBARA: Jak przychodziły gwałtowne burze, zawsze spaliśmy razem.

BRAT: Nadal się boję spać sam podczas burzy.

BARBARA: Pamiętasz, jak mnie raz pocałowałeś?

BRAT: Myślałem, że spałaś.

BARBARA: Udawałam. Potem to udawanie sprawiło, że wiele razy, w celi podczas męskich wizyt, naprawdę zasypiałam i śniłam o burzach, które rozbijają okna.

BRAT: To nie są jakiekolwiek usta, to nie jest jakiekolwiek ciało, to nie jest jakiekolwiek życie, ani jakakolwiek śmierć, nie jakiekolwiek sprawozdanie.

BARBARA: Wiem, że w twoich rękach mogę być bezpieczna. Wszyscy inni szli tylko i wyłącznie za swoją potrzebą.

BRAT: Od początku zbierałem wszystko, co się o tobie pojawiało, w ogłoszeniach na słupach, gazetach, zapisywałem co gadają ludzie, nawet ci, których nie chciałbym nazywać ludźmi.

BARBARA: W celi było ciemno, ale i tak wiem, że przychodziłeś z innymi.

BRAT: Ktoś musiał za ciebie zobaczyć te okropne rzeczy. Czułem, że kiedyś będziesz się chciała po swojemu rozliczyć lub złożyć.

OJCIEC: Na stos wieziono cię zupełnie bez oczu? Co się stało z tym ostatnim okiem?

BARBARA: W celi, nie wiem czy w drugim, czy trzecim roku, może w zimie – chyba jest zimniej niż zwykle – jeden ze strażników mówi, że ciągle się na niego jednym okiem patrzę. A ja wcale nie patrzyłam, tylko paznokciem rysowałam na ścianie naszą z parobkiem polanę przy lesie. On dalej, że w oku mam ogień, ten, którym spaliłam pół miasta. Że tym ogniem z oka rozpalam w nim płomień, a że on dopiero żonaty, nie chce świeżej żonie na początek trypla ofiarować. Ja dalej sobie rysuję szczegóły obrazka. A on nagle zostawił mnie samą, po czym z rozpalonym pogrzebaczem wrócił. I trafił mnie prosto w to ostatnie oko. I tak nastąpiła ciemność roku drugiego, a może trzeciego. A on i tak zrobił co mu się od początku chciało. Od tej pory odwiedziny miałam codziennie, każdy był już incognito. Tylko ciebie po zapachu poznałam, że jesteś między nimi, że się strasznie boisz.

BRAT: Codziennie wracałem do lochów zamku, stałem w kolejce z chłopami, liczyłem ich, liczyłem czas, liczyłem, że uda nam się razem wydostać z tej okrutnej baśni.

BRBARA: Bez o oczu nie mogę walczyć o wolność, nie chce mi się walczyć tylko o przetrwanie.

BRAT: Na początku spróbuj narysować trójkąt, a potem sama cię ręka pociągnie tam dalej i jeszcze dalej, sama siebie wyprzedzisz i zostawisz w tyle.

BARBARA: Żadna ze stron nie może zobaczyć miejsca, z którego patrzy ta druga.

BRAT: Pożar w mieście wybuchł, kiedy wszyscy mieszkańcy byli na sumie.

BARBARA: Mijali mnie, mijali i nikt nie zapytał, co się stało.

BRAT: Wcześniej słyszano, jak oskarżona krzyczy w okolicy budynków, w których miał znajdować się parobek Jakob.

BARBARA: Wyminąłeś mnie razem z innymi, choć się dostosowałam do twojej prędkości. Trzęsienia ziemi ci życzę i huraganu. I żebyś przeżył swoje życie po cichu, upokorzony wiekiem, bez zasług. Żebyś się nie miał do kogo uśmiechnąć. Żebyś stracił słuch i palce. Żebyś dziś zasnął w płomieniach.

BRAT: I tak na okrągło i tak ze trzydzieści razy.

BARBARA: W celi strażnicy i chłopcy pamiętały to ostanie zdanie.

BRAT: „Obyś zasnął w płomieniach!” – zagrzewali się w kolejce do twojego ciała.

BRABRA: Jeden z grupy tak na ciebie krzyknął: „A co ty zboczeńcu, gapić się przychodzisz? Bierz ją, albo won mi stąd, spierdalaj, bo cię wezmę na zakładkę!”

BRAT: Wziął.

BARBARA: „Co taki delikatny? Rób swoje: raz dwa, taśma musi być w ruchu!”

BRAT: I czas się zatrzymał, dalej nie było już czasu.

BARBARA: Ty we mnie, on w tobie, ty we mnie, on w tobie bardziej niż ty we mnie, a w kim ja byłam? W co weszłam?

BRAT: Wnętrza są płynne, a stawiają opór.

BARBARA: Współczułam ci bardziej niż sobie.

BRAT: Przestałem wierzyć w ucieczki.

BARBARA: Nie mam ci za złe, żeś więcej nie przyszedł. Zresztą, co to zmieni, że widzisz o jeden dzień więcej, a dni do końca były niemal takie same. I wydłużały się w nieskończoność.

BRAT: Szerszy świat i tak był dla nas niedostępny.

BARBARA: W mojej pamięci nikt nie jest bezpieczny. Ja cię tam nie zapraszałam, sam się wprosiłeś. Od początku się dobijasz. Unikałam cię, czułam, że też ze mną nie wytrzymasz. Po co mi otwierać głowę, jak już nie ma tam połączeń. Rozbite lustra, kopalnie, wąwozy. Jak miałam jedno oko, udało mi się przez pół pamiętać. Teraz nie mam obu, a i tak mi się ciągle wszystko przypomina. I znowu muszę od początku, od pierwszego spojrzenia w lustro, pierwszego nie swoimi oczami, przechodzić bez końca. Teraz znów będą przychodzili bez pukania i odchodzili bez pytania. Jak spuszczana woda w kiblu regularni. Od zimna do gorąca. Kręci się, rozpaczliwie kręci. Przez dwieście lat to samo. Od przeraźliwej jasności, do smolistej czerni. I jeszcze dalej. Nawet jak ściągnę trzewiki, jak mi nogi utniesz do kolan czy pachwin i tak się dalej kręci. I kręci bezlitośnie. Bez przyczyny. Nic, tylko się człowiekowi zostaje oswoić zawrót i w tym zawrocie zostać. Nie budzić nikogo, aż sam się kiedyś skończy. Co dzień, od nowa się sobie przyglądam i prawie nie pamiętam jaka byłam wczoraj. Bez źródła zasilania. Po co to ciągnąć, w takich przypadkach nie ma zakończenia. I tak nikt mi nie uwierzy. Gdzie ten stos odraczany w ciszy? Znam tę ciszę. Jaka jest twoja cisza? Aktywna, bierna, płynna, byle przetrwać, czy byle nie przetrwać? Kto cię w niej odwiedza? Słyszysz ją? Do kogo należy twoja cisza?